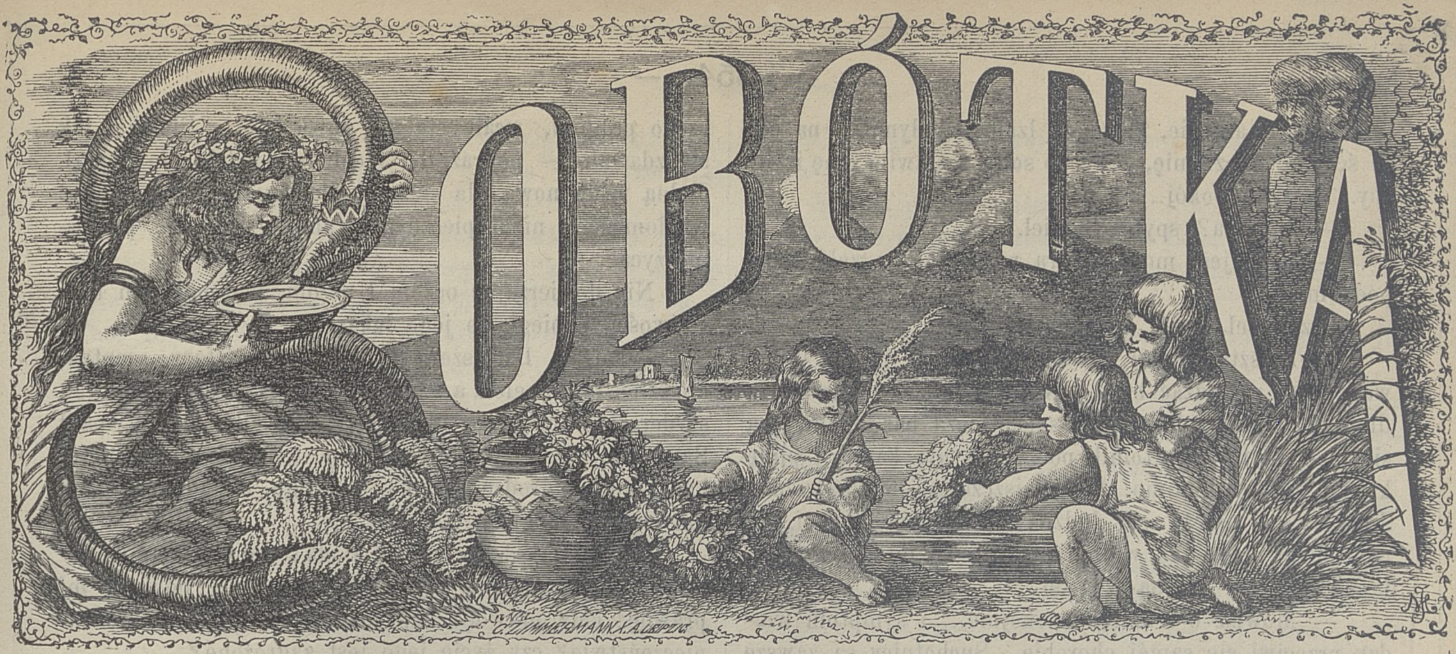




TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 44. Poznań, dnia 30 Października 1869. Rok I.


# W MĘTNÉJ WODZIE.

## Obrazki współczesne

przez **J. I. Kraszewskiego.**

(Dalszy ciąg.)

— Jakto? spytał — więc nic nie wiesz?

— Nie wiem nic, rzekł spokojnie młody człowiek, ale usta mimo tego spokoju pozornego mu drżały.

— Opuścili cię wszyscy, wszyscy podpisali manifest przeciwko tobie i przeszli do obozu Drabickiego.

— Smuci mnie to dla kraju, nie dla mnie, odezwał się Sławek — ale nawet już nie na dziwi.

— Cóż ty poczniesz?

— Ja? nie wiem... może pójdę przebojem.

— Czytać cię nie będą...

— Muszą — odparł podkomorzyc. Zawsze się czyta tych, co nam gorzką mówią prawdę... potém się ich łaje i przeklina. Ale skutek prawdy ten jest, że działa na tych, co na nią plwają i przeciw niéj wrzawę podnoszą.

— A! gdybyś był na zgromadzeniu, nie wiem, czy byś tak mówił — rzekł Samiel — jam był i przerażony jestem.

— Cóż? drugi pojedynek? spytał Sławek, śmiejąc się.

— Cóż gorszego nad to... zupełne zaparcie się ciebie.

— A jakże ty śmiałeś tu przyjść do mnie? z przymuszonym śmiechem rzekł Młyński.

— Umiem być przyjacielem bądź co bądź, odezwał się Samiel — słuchaj. Ta sprawa dziennika, to rzecz twéj woli... nie mięszam się do niéj, pozwoliłbym sobie w innéj rzeczy odezwać się do ciebie... i w imię przyjaźni poczuwam się do obowiązku.

— Mów... z pewném szyderstwem ozwał się Sławek — słucham...

— W sprawie dziennika byłeś aż do zbytku otwartym i szczerym, w innych jesteś tajemniczym i ciemnym, tak że cię nikt nie rozumie... Co myślisz... o Jadzi...

— O Jadzi? podchwycił podkomorzyc — o Jadzi? dla czegóż mnie pytasz o nią?

— Dla tego że świat mówi i sądzi bardzo różnie. Jedni cię mają za pretendenta do ręki hrabianki, drudzy za kochanka Leny, obu im szkodzisz, obu jesteś zawadą do przyszłości, a przecie z obiema się ożenić nie możesz.

— Z obiema? nie — rzekł powoli Sławek — ale mogę nie ożenić się — z żadną.

— Jakto? żartujesz chyba? zdziwiony zawołał Samiel.

— Spojrzyj na mnie, rzekł Sławek powoli — posłuchaj mojego kaszlu, przysiedź przy mnie noc jednę, a powiesz dopiero, czy o miłości, o ożenieniu myśleć, marzyć mogę. Byłbym niepoczciwym... Mam dosyć siły, by ostatek jéj dać na posługę idei, nie mam nadto, abym miał ją na własne obracać szczęście. Tajemnica mojego serca zostanie może dla mnie samego — tajemnicą... ale nic nie zmusi, abym uczciwości méj skłamał czynem...

— Ale... Jadzia... Jadzia cię kocha! zawołał Samiel powolniéj.

— Kto ci to powiedział? odparł Sławek. Czytałeś w jéj sercu, jak w mojém... po ciemku... możeś nie to wyczytał, co w niém jest... Gdyby nawet tak było... to

miłość — marzenie, które ze łzami wypłynie... na cóż je ściągać na ziemię, żeby po sobie zostawiło ranę i blizny. Daj mi pokój...

— A Lena? spytał Samiel.

— Lena jest moją siostrą przybraną... rzekł sucho podkomorzyc.

Przyjaciel ruszył ramionami.

— Zresztą, dodał Sławek spokojnie, ja nie długo wam i im zawadzać będę. Nie jestem poetą kaszlącym dla tego, aby sobie nadać suchotniczą barwę, mającą się zlać na wydany tomik poezyi — ale kaszlę i pluję krwią, niestety! mimo chęci najszczerszéj wyzdrowienia. Jestem, nie należy się łudzić, chodzącym trupem, ty byś chciał, bym jak widmo podał rękę młodości życia, i pociągnął je z sobą w grób...

— Mówisz o tém tak spokojnie... i symptom wiedzy przeciwi się saméj chorobie. Suchotnicy są zawsze pełni nadziei...

— A ja — pełen jestem rozpaczy... zwolna odparł Sławek.. Nie — złego użyłem wyrazu — rezygnacyi. Nic nie pomoże targać się przeciw nieubłaganemu wyrokowi, tylko zwierzę krzyczy, konając, mężczyzna umiera w pełni mocy nad duchem własnym. Takim ja chcę umrzeć... na wyłomie, przy pracy, otoczony uśmiechami... przyjaźnią i nieulękły...

— Dziwny z ciebie człowiek — odezwał się Samiel, któremu wymykała się ofiara — a co gorzéj tajemnica — ale przypuściwszy nawet nieprawdopodobne... że jesteś istotnie chory niebezpiecznie, toć przecie choroba trwać może...

— Czy chciałbyś, żebym się prędzéj uwinął? rozśmiał się Sławek! a! przepraszam cię, nie mogę. Samobójstwem się brzydzę równie, jak postrachem zgonu.. ale bądź co bądź... nie lękaj się, to nie potrwa... Jadzia i Lena będą wolne... a ty.. rycerzu! weźmiesz po mnie.. spadek może...?

Rozśmiał się Sławek dziwnie, szydersko i pierwszy raz poczuł ów przyjaciel farbowany (jak to ich zwano za dawnych czasów) — że podkomorzyc jasno widział w jego myślach.

— Dajże mi pokój, rzekł, otrząsając się — i nie mówmy o tém.

— Przeciwnie, rozłożyłeś kartę, czytaj do końca, zimno mówił podkomorzyc... powiedz mi, o którą z nich ci idzie?... Nie spodziewam się byś myślał o Jadzi? a pewien jestem, że Lena o tobie nie myśli.

— Niewiem, odparł obrażony nieco Samiel — ale to pewna, że jest mi przyjazną z dawna, i że ja zawsze dla niéj miałem największe współczucie.

— A! rozśmiał się podkomorzyc... i w tém zakaszlał mocno, przyłożył prędko do ust chustkę, która się krwią zbroczyła — i skrył ją co najprędzéj.

Samiel przerażony umilkł.

— Nie mógł byś mi dostać tego manifestu przeciwko mnie i imion tych, co go popisali?

— Niechcę cię męczyć tém...

— Nie zmuszam, zawsze jutro wiedzieć będę, odparł Młyński, przepraszam cię — ale w téj chwili mówienie mnie męczy... muszę się położyć... Dobranoc ci.

Przyjaciel pożegnany po serdecznym ręki uścisku, wyszedł nadzwyczaj z siebie niezadowolniony. O tém, czego pragnął, wcale się nie dowiedział. Sławka, jak się zdawało — podrażnił... i celu odwiedzin nie dopiął. Jedną tylko nową dla siebie i dla świata wynosił ztąd wiadomość o niebezpiecznym stanie... zdrowia podkomorzyca...

Nie dowierzając oczom i uszom, pod pozorem troskliwości, pobiegł do jego lekarza....

Lekarz p. Barbiszewski, był to człek stary, sceptyk, ale człek taktu pełen, a z ludźmi, których nie potrzebował, szyderski i niekiedy okrutny... Gdy do niego wpadł Samiel i wyciągnął go od rodziny, z salonu do gabinetu, badał go po drodze oczyma, usiłując odgadnąć, o co mu chodzić mogło.

— Doktorze! na miłość Boga! zapytał Samiel — mam w tém interes największéj wagi — powiedz mi prawdę! całą prawdę? czy podkomorzyc jest w niebezpieczeństwie? czy życie jego jest zagrożone?

— Pan mi naprzód powiedz, po co ci ta wiadomość? odrzekł doktór, zażywając tabaki...

— Ale są interesa... moralne, materyalne — które się do jego przyjaciół?

— A! zawołał Barbiszewski... pan się liczysz i ludzie pana liczą, ale poczciwy Sławek, czy go téż rachuje?

Przybyły ramionami dźwignął.

— Proszę o to w imię krewnych?

— Jakich?

— Hrabinéj Wartskiéj.

— Słuchaj że — odparł doktor — podkomorzyc żyć nie będzie, to nie ulega kwestyi... on sam o tém wie i stósownie do tego się urządza... mężniejszego umysłu człowieka nie widziałem nigdy... Nie trujcie mu ostatnich dni głupiemi interesami, dodał doktor — zostawcie go w pokoju... nie mówcie o tém, nie pokazujcie mu twarzy katafalkowych... nie gryźcie go waszém politowaniem, bo on go nie potrzebuje. Drabicki może się pochwalić, że doskonale celował, strzelił i trafił. Samiel zamilkł.

— Suchoty rozwinięte są w takich warunkach, wieku, budowy, świeżego wypadku, który sił pozbawił, iż cud żaden ocalić go nie może. Dni jego policzone.. I długoż to potrwać może? zapytał Samiel

— Czy chcesz się przygotować do mowy pogrzebowéj! rzekł doktor... no! to ci tylko powiem, nie trać czasu... Zasłużył na piękną mowę, to pewna, ale takiéj jak on wart, nikt mu nie powie, niestety!

Doktor westchnął...

— Czy jeszcze ci co mam powiedzieć więcéj, spytał.

— O! tego coś mi dał, mam aż nadto... rzekł Samiel, którego mimo chłodnego serca — przerażała wiadomość o stanie Sławka...

— A gdyby go do Włoch wyprawić?

— Umarł by może w drodze, a pewnie na miejscu — odparł Barbiszewski, trzęsąc głową, po co go męczyć, gdy ocalić niepodobna...

— Drabicki jest nikczemny... szepnął mimowolnie Samiel.

— Drabicki jest człowiek logiczny tylko, odparł Barbiszewski... zawadzał mu, zabił go. Działał w obronie własnéj, jak wilk lub lis... ręczę, że się skutkiem nie zgryzie... ale mnie herbata stygnie... dodał lekarz, albo chodź ją pij ze mną, albo bywaj zdrów...

Z czołem, na które wystąpiły krople zimnego potu, wyszedł powili pan Samiel... na miasto — potrzebował ochłonąć, namyśleć się, rozerwać.

Do opuszczonego dworku Sławka o zwykłéj porze, wsunęła się Lena, ocierając łzy w progu, serce jéj trwogi było pełne, domyślała się złego, choć nie wiedziała nic... Stan brata ją przerażał, patrzyła doktorowi w oczy, chcąc w nich coś wyczytać, ale doktór był panem siebie i nie pokazywał nic.

Zastała Sławka nad stołem z dłońmi zaciśniętemi i spartą na nich twarzą, podniósł ją bladą, ale uśmiechniętą, zobaczywszy Lenę.

— Cóż ty? cierpiący? spytała.

— Nie — nie, tak, trochę... zmęczony jestem, był Samiel... zmudził mnie... mówić trudno... poczytaj mi..

Lena usiadła i poczęła przerzucać książki, ale wybór był trudny, wesołego nie chciał, smutnego ona się lękała, przypadkiem Przedświt wpadł jéj w ręce

Zaczęła: omijając pierwszą pieśń od tego obrazu:

Czy pamiętasz nad Alp śniegiem
Rozwieszone Włoch błękity?
Nad jeziora włoskim brzegiem,
Czy pamiętasz Alp granity?

Głos jéj był dźwięczny jak muzyka... przejęty, łzawy, czytała cudnie, bo sercem czytała całém i tak zamarzyli się, utonęli w téj poezyi do późna, nie myśląc, że świat.. był jaki inny za nimi.

Sławek słuchał z głową opartą na rękach, aż ostatni dźwięk z ostatnim skonał wierszem...

Ducha męzkiego niewieści aniele!
Czuwaj nademą — i zostań się przy mnie
Aż zginę, cząstką, w trudów arcydziele,
Aż skonam, zwrótką, w poświęcenia hymnie. —

Słowa te, dziwnie przystawały do położenia i uśmiechając się, powtórzył je powoli podkomorzyc, podając rękę — niewieściemu aniołowi.

— Tak! rzekł byłaby to piękna śmierć, gdyby módz poświęcenia hymnem umierać! ale na świecie cóż się właściwie poświęceniem nazwać może? Nie mówmy o tém...

Śliczny ten poezyi świat! jedyny... prawdziwy! rzeczywistość jest kłamstwem... poezya tylko prawdą! Cokolwiek człowiek zechce ująć dłonią, dotknąć ciałem, to mu się w proch rozsypie i rozleje w błoto.. jedna myśl i poezya nieśmiertelną, widomą, choć nie poścignioną świeci gwiazdą.

— Prawda — odpowiedziała Lena — kto chce być szczęśliwym, ten w myśli i śpiewie szczęścia szukać powinien, nigdy w życiu... Ja także nie wierzę w rzeczywistość.. wyjmuję miłość dwóch czystych istót... jakby z poematu wyjętą... Ta może na całe wystarczyć życie.

— Ale ona — rzekł Sławek, rzeczywistością nie jest, tylko marzeniem, a im mniéj tknie się ziemi, tém cudniejsza..

Zamilkli...

— Sen życie... dorzucił tęskno podkomorzyc.

Gdyby się tylko przebudzić w jasnym obłoku, ręka w rękę z Beatrysą.. jak w przedostatnich pieśniach raju.. w tych sferach blasku i pogody, dokąd z piekieł nie dochodzi zgrzyt zębów, kajdan brzęki i plusk ludzkiéj błota kałuży...

Sławek głowę spuścił.

— Co ci jest? czule spytała Lena.

— Nic... marzę, jak widzisz... odparł Sławek.

— Ale smutnie...

— Bo ja wesołym być nawet, gdy szczęśliwy jestem .. nie umiem...

Zamilkł, podali sobie ręce... Lena zbliżyła ukradkiem usta do białéj jego dłoni... nie cofnął jéj — postrzegła dopiero po ostygnięciu, że — omdlał..

Na krzyk przelękłéj kobiety — nadbiegł z drugiego pokoju tylko co przybyły Kanonik, posłano po Barbiszewskiego... odtrzeźwiono Młyńskiego, który z przestrachem otworzył oczy, i zobaczywszy Lenę, ręce ku niéj wyciągnął.. Chustka, którą usta miał zatulone, pełną była krwi...

Doktór nakazał spoczynek... ale sercu i duszy, któż spocząć potrafi nakazać słowem... Sławek się położył... a miasto pokoju przyszła gorączka.

---

Nazajutrz... około południa pan Samiel nieco wzruszony stawił się w salonie hrabinéj, Jadzia w drugim pokoju czytała książkę, rozmowa więc musiała toczyć się z razu o rzeczach obojętnych.

Dopiero gdy szelest sukni oznajmił, że wedle zwyczaju swego, wyszła, unikając spotkania z Samielem.. mogła go spytać hrabina, co przynosił.

— Moja twarz mogłaby pani odpowiedzieć, rzekł cicho... kochałem Sławka... a...

— Cóż się stało?

— Dotąd nic, ale mu grozi nieodwołalnie — śmierć!

Wartska załamała ręce — to nie może być! zawołała.

— Wczoraj przy mnie... krew mu się rzuciła, on się z tém tai, ale doktór wyznał mi, gdym go nacisnął, że dni jego policzone.

Biedna kobieta płakać zaczęła... chodziła po pokoju, myśląc... rozmowa stawała się niepodobieństwem, bo jak rozmawiać ze łzami? Samiel wyszedł. Usiłując moc wyrobić w sobie Wartska, otarła powieki, poszła do zwierciadła... obmyła twarz .. i z książką, któréj czytać nie mogła, oczekiwała na córkę...

Nie będziemy powtarzać sceny, między matką a dziecięciem, w któréj miłość macierzyńska, pragnąca je uchronić od cierpienia, zwyciężyła. Mimo oporu i próśb Jadzi skłoniła ją hrabina do podróży za granicę, a znalazła powód do przyspieszenia jéj. Biedne dziewczę zmięszane, milczące, wymodliło tylko, że Sławka pożegnać pojadą...

Było to w parę dni po ostatniém omdleniu. Sławek silniejszy nieco, pracował.. krzepił się.. opanowywał, uśmiechał się wesoło do wszystkich, aby myśleli, że jest wesołym. Wiedział on już o projekcie wyjazdu, a nie próbował ich nawet powstrzymać.. zobaczywszy przybywające, domyślił się pożegnania. Wyszedł na próg do hrabinéj.. W pokoju był szczęściem Kanonik, który teraz prawie go nie opuszczał. Na ten raz bardzo się przydał i był potrzebnym świadkiem, przy obcych ludzie się mimowoli hamują.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

# Krynolina na wsi.

(Z ryciną.)

Wiejska krynolina... strojna jarmarczną wstążką.... polnym kwiatem i świeżością szesnastéj wiosny dziewczęcia... co za antyteza krynoliny salonu... uzbrojonéj twardym i szlachetnym metalem, dumnéj pawią powagą modnéj pani.

Obok zalet jakie modzie, a w szczególności stalowym krynolinom płeć piękna przypisuje, niech nam wolno będzie przedstawić illustracyę zapomnianéj mody... mody, któréj wielbicielami są tylko bużany i przezroczyste wody ruczajów.

Nie tylko historya ludzkości, lecz i historya mody, ma chwile, od których ery liczy. Do tych chwil rewolucyjnych, bezwątpienia należy chwila ukazania się krynoliny.

Po długiéj, ciężkiéj i krwawéj walce z przesądem, myśl nowa, myśl cywilizacyjna, zwycięstwo odniosła. Pod uderzeniami młotów zagrzmiały kuźnie nowego Babilonu, a miliony stalowych prętów, przy pomocy pary i elektryczności, nieledwie świat cały opasały. Dziś panowanie jéj już silnéj opozycyi nie znajduje. Wszyscy bałwochwalczo czołem jéj biją. W pałacach sterczących dumnie, w białym dworku wiejskim, za kantorem spekulanta, co chwila brzęk stali przypomina zwycięzonym potęgę rewolucyi modnéj. Słabe zachcianki przedstawionéj w illustracyi opozycyi, uzbrojonéj nie stalą, lecz domorosłym krochmalem i czarnemi oczami, chronić się dziś muszą z resztkami sił nad brzegami niedostępnemi wód i gai, lub w urocze skały gór rodzinnych.



**Krynolina na wsi.**

Mamy nadzieję, że wspaniałomyślni zwycięzcy nie wezmą nam za złe, żeśmy zwyciężonego i współczucie obudzającego nieprzyjaciela przed piękne ich oczy postawili.

W. H.

# Z melodyi biblijnych.

I pragnął tam lud dla niedostatku wody i szemrał przeciw Mojżeszowi, mówiąc: czemuś nas wywiódł z Egiptu, abyś pomorzył nas i dzieci nasze i bydło pragnieniem?
Exodus XVII—3.

I.

Drogą pokuty, drogą boleści
Lud Izraela szedł lat czterdzieści,
Jak proch w pustyni rozwiany:
A w doli strasznéj, doli tułaczéj,
Wołał, bolejąc: „Mojżeszu! raczéj
Wiedź nas po dawne kajdany!

II.

Wiedź nas po dawne pęta i młoty,
My zginiem tutaj z żaru, spiekoty,
Z pragnienia zginiem i głodu!
Dzień każdy wyje nam jękiem skonu..
Bóg ogłuchł! zaliż do Jego tronu
Doleci skarga narodu?

III.

Pragnienie pali a w piersiach matek,
Zar już pokarmu wyssał ostatek,
Krwi, krwi nie stało nam w żyłach...
Patrz, tam niemowlę w kurczach się wije,
Pieni się... kona.. ach! już nie żyje...
I my padamy na siłach!

IV.

Padają żony i córy pilne,
I syny nasze by dęby silne,
Jak ścięte padają kłody!
Już tylko w koło wzrok wodzim dziki
Głos w piersiach zamarł, przyschły języki:
Wody! ach wody! ach wody!

V.

Oblicza nasze trąd szpeci blady,
Piersi na sztuki rwą żywcem gady,
Bielmo osiadło na oku...
W proch nasze Bogi starłeś bezbożny,
Pokaż nam teraz, gdzie twój Wielmożny?
Gdzie Bóg twój Wielki? — proroku!“

VI.

I powstał Mojżesz i rzekł: „O ludu!
Nie kuś Jehowy, nie wołaj cudu,
Bo cudem często skaranie...
Pan cię doświadczał, dając niedolę,
Przeto cię trądem posiał na czole,
A węże włożył w posłanie!

VII.

Pragnieniem palił i wędził głodem,
Bo chciał cię wielkim widzieć narodem,
Chciał, abyś przerósł cierpienia.
Ale żeś szemrał wbrew Jego woli,
Przeto ci Pan mój wyjść nie dozwoli,
Do ziemi twojéj wytchnienia!

VIII.

Lecz ucisz jęki, bo Pan wspaniały,
Wodę ci kazał wywieść ze skały,
I z łoża powstać bez szkody!“...
Jeszcze nie skończył, gdy na Mojżesza
Trzykroć niesforna huknęła rzesza:
„Wody! ach wody! ach wody!“

Paryż w październiku 1869 r. Władysław Bełza.

# O Teatrze narodowym.

III.

W Krakowie, podobnie jak w Warszawie, dopiero koniec przeszłego stulecia był świadkiem urodzin sceny narodowéj. Wprawdzie z dawien dawna żaki krakowskie przedstawienia dyalogowe urządzali, a w ciągu XVIII wieku na podwórzu i w opustoszałych salach zamku przejeżdżający komedyanci pokazywali rozmaite sztuki i widowiska, ale tego trudno uważać choćby za zawiązek teatru. Niepodobna także brać za to opery włoskiéj, którą wojewoda krakowski książę Lubomirski utrzymywał około 1750 roku z niezmiernym kosztem. Była to czysta fantazya pańska dość u nas zwyczajna, bo w téj epoce Rzewuski, hetman koronny, miał takąż operę we Lwowie, Tyzenhaus balet francuzki, a wielu innych panów własne swoje teatra dworskie.

Prędzéj już za pierwszy zaczątek stałego teatru uważaćby można przedstawienia teatralne kosztem biskupa krakowskiego ks. Sołtyka dawane, a prowadzone potém daléj z pewną systematycznością przez ks. Sierakowskiego, który dla nich osobną salę przy ulicy Grodzkiéj urządził. Młódź szkólna śpiewała tam kantaty, a jedno z takich przedstawień zaszczycił obecnością swoją król Stanisław August.

O stałéj jednak scenie mowy nie było dopóty, dopóki nie znalazł się człowiek przeznaczony, zdaje się, na to jedynie, żeby utworzył w Krakowie teatr polski. Był nim Jacek Kluszewski. Dziwny to i oryginalny typ owego czasu, który w oryginały i typy tak był obfitym. Ur. 1761, syn bogatéj rodziny i spokrewniony z wielu zamożnemi domami, Kluszewski był dziecięciem swego wieku.

Wolteryanin z przekonań, indyferentysta polityczny, epikurejczyk od stóp do głowy, wielki amator dobrego obiadu i pięknych twarzyczek, hojny a nawet marnotrawny, lub skąpy do posady wedle fantazyi, człowiek ten miał jedną szlachetną namiętność, lubił sztuki a przedewszystkiém muzykę.

On to pierwszy urządził stałe przedstawienia i kierował teatrem krakowskim przez lat przeszło 50.

Kiedy trupa przez Kluszewskiego zorganizowana, rozpoczęła regularne przedstawienia, trudno docieć, zdaje się jednak, że około 1783 roku. To pewna, że już w 1785 istniał pod jego dyrekcyą stały teatr w pałacu spiskim.

Była to jednak opera — tylko i to opera włoska, a namiętny dyrektor sam orkiestrą kierował.

Co bądź, w dalszym ciągu, sprawiedliwość myśl... nas zmusi o tym twórcy sceny krakowskiéj, przyznać mu jednak musimy prawdziwą zasługę i podnieść niepospolitą jego odwagę. Z jednéj bowiem strony pamiętać należy, jakie wtedy uprzedzenia panowały przeciw tak zwanym komedyantom, z drugiéj nie zapominać, że tamtoczesny Kraków miał wszystkiego 8,000 mieszkańców.

Trzeba było niezawodnie namiętnego zamiłowania sztuki, żeby w takiéj mieścinie odważyć się na zbudowanie teatru stałego, na zorganizowanie zarazem opery, dramatu, komedyi i nawet... baletu.

Od roku więc 1785 już opera włoska dawała rzadkie, ale stałe przedstawienia w pałacu spiskim, a tam oczesny afisz dowodzi, że cena miejsc była wyższą nawet, jak dzisiejsza.

W kilka lat potém zjawił się do Krakowa ojciec teatru polskiego W. Bogusławski. Krótki jego tu pobyt, kilka rozmów z Kluszewskim, skłoniły tego osta-

tniego do dawania i polskich przedstawień, które podniesione grą Owsińskiego z uniesieniem przyjęte zosały. Krótka to jednak była chwila, bo klęska 1794 r. jak wszystko tak i ledwo narodzony teatr krakowski zniszczyła na czas jakiś.

Była to epoka dziwnéj odrętwiałości i strasznego upodlenia ducha narodowego.

Zamiast w rozbiciu ratować choć szczątki narodowych skarbów, zamiast po świeżym gwałcie odsuwać zabawy przez wrogów ofiarowane, chwytano je prawie z radością.

Po rozbiorze, gdy scena polska w Krakowie zaledwie wegotowała, trupa niemiecka pod dyrekcyą Karóla Wothe, a głównym zarządem Kluszewskiego doznawała wielkiego powodzenia.

Tymczasem obojętny dosyć na to, kto gra, byle grano, Kluszewski w 1799 wybudował osobny gmach teatralny (w tém samém miejscu, gdzie stoi dzisiejszy) i dawał na przemian dobre przedstawienia niemieckie i nędzne reprezentacye polskie,... raz na tydzień, a w tymże czasie otrzymał przywiléj wyłączny na lat 20.

Taki stan rzeczy trwał do roku 1809, t. j. do ustąpienia wójsk austryackich gnanych postępami księcia Józefa Poniatowskiego. Kraków został przyłączony do Wielkiego Księstwa Warszawskiego, a w miesiąc do odzyskanego grodu przybył W. Bogusławskich i dał 54 przedstawień, na które bilety zawsze wprzód były rozkupione.

Ale powodzenie to trwało ledwo krótką chwilę. Zaraz prawie po wyjeździe Bogusławskiego teatr zaczął upadać. Kluszewski stary już, trochę zrujnowany niezmierną rozrzutnością, kierowany przez faworyty, zaczął się opuszczać, a z drugiéj strony wypadki polityczne i ogólne wycieńczenie nie sprzyjało rozwojowi sceny. Lubo więc teatr istniał i miał nawet paru nie złych artystów (np. Niedzielskich), przecież prawie nie słychać o nim. Dopiero w 1812, gdy „przywrócono Królestwo Polskie,“ gdy nadzieje się rozbudziły, teatr odżył na chwilę, dając przedstawienia sztuk patryotycznych, jak „Zdobycie Grodna,“ „Oswobodzenie Litwy,“ lub apoteozujące Napoleona.

Niestety! we dwa lata potém na téjże saméj scenie, taż sama publiczność klaskała z równém uniesieniem apoteozie Aleksandra I p. t. „Łaska Imperatora.“ Tak to bywa u nas w Polsce.

W 1817 roku Kluszewski niby się trochę ożywił i nieco lepszych sprowadził artystów, ale gdy około 1820 roku umarła panna Delille, kochanka jego, ale kobieta rozumna i dobry nań wpływ wywierająca, zmęczony i zdziecinniały starzec coraz więcéj teatr zaniedbywać zaczął.

Od roku 1813 brał on od miasta 13,000 złp. subwencyi, ale dodatek ten, uważając jako wynagrodzenie za poniesione w sprawie teatru zasługi, chował do kieszeni, dawał tylko dwa na tydzień przed tawienia, aktorów źle płacił, nowych dekoracyi i ubiorów nie sprawiał i potrafił publiczność zupełnie dla teatru zniechęcić.

I inaczéj być nie mogło. Bohaterki jego były stare i brzydkie, jedna nawet garbata, bohaterowie najgorszego prowadzenia i żadnego talentu ludzie, repertoar, najhaniebniejszy i złożony prawie wyłącznie z tłómaczeń. Tak w ostatnim roku jego antrepryzy na 73 sztuk granych, oryginalnych było 16.

Mimo więc wpływów i stósunków, jakie miał Kluszewski. senat krakowski, party opinią publiczną, odmówił mu przedłużenia przywileju i dał takowy Mieroszewskiemu.

Mieroszewski mając przyrzeczone 13,000 złpol. subwencyi, wziął się energiczniéj do dzieła, a ponieważ obrażony Kluszewski teatru mu wynająć nie chciał, kupił i urządził na ten cel opustoszały kościół przy ulicy św. Jana, i tam przedstawienia rozpoczął. Odtąd więc aż do wybudowania nowego teatru t. j do roku 1842 widowiska odbywały się w budynku nieopalanym, pełnym przewiewów, cugów i niewygód, co nie mało na późniejsze jego niepowodzenie wpływało.

Jednakże Mieroszewski sprowadził najlepszych, jacy byli, artystów, jak Nowakowskich, Szymkniłową, Anczyca, Niedzielskich i t d. i pierwsze przedstawienia były dobre, ale wtedy właśnie wybuchło powstanie. Dziwić się nie można, że gdy wrzała walka o śmierć i życie, teatr stał pustkami, a przyczyniła się do tego i opinia, jaką miał Mieroszewski, opinia tak fatalna, że tylko poświęcenie aktorów ocaliło go od haniebnéj śmierci.

W takich stósunkach niepodobna było prowadzić dyrekcyi i Mieroszewski ustąpił téż przywileju Pfeiferowi z tém zastrzeżeniem, że połowa rocznéj subwencyi przy nim zostanie. Naturalnie, że na taki układ tylko senat miasta Krakowa mógł pozwolić, bo czyż to rzecz słyszana, żeby subwencya przeznaczona na podniesienie sceny, mogła służyć za sinekurę byłemu dyrektorowi.

Pfeifer, lichy aktór, gorszy jeszcze dyrektor, o literaturze dramatycznéj nie mający pojęcia, przyprowadził w lat parę teatr do zupełnego upadku i straciwszy wiele, ustąpił przywileju Anczycowi, znów z nim popodzieliwszy się subwencyą. Tak więc zamiast 13000 dyrektor teatralny brał tylko 3.000, a reszta była dla kieszeni Mieroszewskiego i Pfeifera.

To była najsmutniejsza dla teatru krakowskiego epoka. Prawdziwe szaleństwo opanowało tamecznych aktorów. Bez maszyneryi i dekoracyi, w brudnych i połatanych ubiorach, bez jednego wyższego talentu w swojém gronie, uparcie porywano się na takie sztuki jak Cyd, Fedra, Lukrecya Borgia, Angelo, Hamlet, Lear. Co więcéj, nie mając ani jednego znośnego śpiewaka lub śpiewaczki, ani cienia chóru, z dziwném zuchwalstwem dawano opery olbrzymich sił potrzebujące, jak: Wolnego Strzelca, Roberta Djabła, Niema z Portici itp.

Doprawdy niewiadomo, kogo podziwiać, czy bezczelność artystów, czy publiczności dobroczynność. Jak na dobitkę, między 30 a 40 r. odwiedzała Kraków trupa niemiecka Burghausera z Wrocławia, licząca w swojém gronie i dobrych aktorów i lepszych jeszcze śpiewków. Do wszystkich zaś nieszczęść dodać należy i wielkie niewygody teatru i niechęci osobiste między artystami. Chociaż więc między nimi było kilku niezłych aktorów, jak Anczyc, Niedzielski, Szymkniłowie, publiczność jednak chłodła dla sceny, a za tym chłodem następował naturalnie większy jeszcze téjże upadek. Dodać nareszcie należy, że w epoce téj w Krakowie nie istniała jeszcze krytyka i zaledwie Gazeta Krakowska od czasu do czasu zamieszczała blade i wiecznie poch'ebne recenzye.

(Dokończenie nastąpi.)

## Przygody asesora Z...

(Prawdziwe zdarzenie. — Ciąg dalszy.)

Wicemundur z aksamitnym kołnierzem asesora skrępował potężne bary Niaury, stan znalazł się na plecach, ręce sterczały o pół łokcia z pod rękawów, ale asesor utrzymywał, że wszystko wygląda cudownie i dopóki nie sporządzą nowego ubrania, Niaurowi nie wolno wrócić do sukmany, dopóki będą pozostawać w Wilnie. Tymczasem i noc zapadła — starka, wino, wyborna kolacyjka, dobra myśl, plany na przyszłość, wszystko to zajęło tyle czasu, że o głównych powodach przyjazdu nie podobna już było pomyśleć. Niaura się zatoczył,

asesor po długim poście także nie żałował sobie; dość, że kiedy północ wybiła, jeden chrapał, czyli udawał, że chrapie, rozwalony we wygodném krześle, drugi udawał trzeźwego a na piękne pijany, tarzał się pod stołem; dopalona świeca to migła płomykiem, to znowu gasła.

Nagle zdało się asesorowi, że ktoś skrzypnął drzwiami, podniósł ociężałą głowę. Niaury już nie było w pokoju. Jakkolwiek pijany jeszcze ze wszystkiém, pan asesor nie utracił pamięci, wiedział, gdzie się znajduje, z kim tu przybył i że tego współtowarzysza należy się wystrzegać, pomimo pozornéj przyjaźni, która ich łączy. Więcjak umiał, wywlókł się zpod stołu i po omacku zbliżył do komody. Silił się wysunąć szufladę, lecz widząc, że próżne usiłowania, trzymając się to ściany, to sprzętów, natrafił przecież drzwi i pociągnął raz drugi i trzeci za taśmę od dzwonka. W kilka minut zakołotano do drzwi.

Asesor wzywał światła i pomocy, w odpowiedzi odebrał wiadomość, że jego towarzysz zamknął drzwi na klucz i klucz zabrał z sobą wychodząc do miasta.

Asesor klął, bełkocząc — należało jakimkolwiekbądź sposobem drzwi otworzyć. Rozbudzona służba hotelowa dopełniła tego z łatwością, ale zawsze ubiegło ze trzy kwadranse, zanim przyniesiono światło i dobrano klucza. Asesor przez ten czas oblewał się wodą i słabł i trzeźwiał, powybijał szyby w oknach, aby nabrać powietrza, jeszcze chwila a byłby gotów oknem wyskoczyć, aby ścigać Niaurę, którego począł podejrzywać o zdradę.

Kiedy wniesiono światło, asesor stał przy komodzie usiłując odsunąć szufladę, dokazał tego przy pomocy służby. Worki były na miejscu i to jedno cokolwiek go uspokoiło, w pokoju wszystko było nienaruszone, brakowało tylko czapki z gwiazdką urzędową munduru i płaszcza z herbowemi guzikami pana asesora.

Powoli rozproszone myśli nabierały ładu, asesor rozwięzując worki przypomniał sobie, że sam naglił Niaurę aby przywdział mundur, zastósował się więc tylko do jego woli i nic więcéj; ale gdzieżby wybrał się w nocy? po co? Stróż utrzymywał, że ten pan wychodząc kazał zawołać dorożkę, że jakiś jegomość oczekiwał na niego na ulicy, a potém wsiedli razem i pojechali jak się zdaje na pocztę.

Asesor krzyknął przeraźliwie, bo w téj chwili rozwiązał wór większy, wór przez całą drogę piastowany przez Niaurę, a zamiast pieniędzy srebrnych znalazł w niém tylko liche kopiejki, owe sławne moskiewskie kopiejki! wielkie jak talary, a szeląga nie mające wartości. Asesor jak waryat w koszuli wybiegł na ulicę, zaledwie zdążono mu zarzucić futro na plecy i wrzeszcząc — wór! maszennik! Izwoszczyk! biegał to tu, to tam po ulicy przed bramą hotelu.

Na szczęście, czy też nieszczęście asesora nawinął się jeden z tych nocnych Izwoszczyków, w których Wilno dość jest zaopatrzone! Taki dorożkarz ma osobny przywiléj, opłaca się dzielnie policmajstrowi, kwartalnym czasnym — prystawom, budnikom i całéj policyjnéj hierarchii, częstokroć jest jéj ajentem, a prawie zawsze pijanym jak bella i obwozi po mieście również pijanych panów. Kto zdobył w nocy Izwoszczyka, ten już bezpiecznie może się włóczyć całą noc po Wilnie, swobodny od napaści licznych patroli, które rotami wzdłuż i wszerz przebiegają miasto. Za czasów Dołhorukowa pijaństwo należało do dobrego tonu. Każdy bal kończył się szynkową zabawą, zbierano po rynsztokach czynowników jak się zbiera śmiecie, pewnéj nocy sam kniaź Dołhoruki przebrany po cywilnemu, wracając od kochanki, upadł w rynsztok przed drzwiami własnego czyli raczéj carskiego pałacu i spał szczęśliwie. Już warta pałacowa podchodziła, aby uprzątnąć nierogaciznę, gdy nadbiegł marszałek R. zwykły towarzysz dostojnego kniazia w jego nocnych wycieczkach i przestrzegł niebacznych. Kniaź Trubeckoj pił także, pił może daleko więcéj, aniželi którykolwiek z jego podwładnych, ale sam, i w tém przekonaniu, że nikt nie domyśla się nawet, aby trunek podniecał tę dzikość, którą on nazywał energią swego charakteru. Dla tego też zmrużał oczy na pijaków i cała śledcza komisya słynęła z téj zaszczytnéj podówczas wady.

Od czasu zaboru nie ma roku, którýby nie był napiętnowany okrucieństwem i tyranią, ale czasy Dołhorukowa i kniazia Trubeckawo oznaczają się i dwulicowym obrazem jednocześnie Baltazarowéj uczty i okrucieństwa Nerona. Jednéj i téjże samej nocy Wilno grzmiało odgłosem hucznego balu i smutnym brzękiem kajdan; wonijące, rozkołysane muzyką damy, wracając z balu nie jednokrotnie napotykały osłoniętą czarném płótnem kibitkę, a w niéj dyszał biedny więzień, któremu kniaź Trubeckoj w swojém mieszkaniu naznaczył posłuchanie, albo téż dla niewiadoméj przyczyny zmieniał nieszczęśliwemu więzienie. W nocy, o któréj mowa wszyscy członkowie śledczéj komisyi pod prezydencyę samego kniazia obradowali nad jakimś ważnym wypadkiem. Stronnicy Dołhorukowa szeptali, że wielkorządzca postarał się o zamknięcia śledczéj komisyi i że z Petersburga lada dzień kniaź Trubeckoj otrzyma wygawor (naganę), za zbyt srogie postępowanie z więźniami.

Jak daleko wieści te były uzasadnione, nikt jeszcze podówczas nie był pewnym, bo chociaż krwawy dramat na osobie Konarskiego już był dokonanym, i sprawa tak zwana apostolską, już dostatecznie nasłała ofiar w kopalnie Sybiru, a po rusztowaniach płynęły krwi strumienie, jednakże tak w Kongresówce jak i w zabranych krajach, jeszcze więzienia były przepełnione.

Tajemnice stanu zdradzał sam Trubeckoj niespokojem, cechującym wszystkie jego postępki. Zły humor, chociaż w objawach swoich najuciążliwiéj dawał się odczuwać więźniom i niemal całemu miastu, był zarazem najwyraźniejszą wskazówką, że od Petersburga szły ciężkie chmury, z których grom wyłącznie spadnie na głowę kniazia. Wprawdzie jak dawniéj tak i teraz jeszcze wybijał zęby swoim czynownikom, ale bez dodatku ulubionéj przechwałki „Ja srog, no sprawiedliw!“ po któréj zwykle następowała albo pieniężna nagroda na wstawienie zębów, albo plaster w postaci podwyższonéj rangi. Asesor utrzymywał, że gdyby kniazia był poznał przed swojemi nieszczęśliwemi wypadkami, byłby niezawodnie najmniéj sprawnikiem. Owéj pamiętnéj nocy spotkało asesora to szczęście, ale niestety! w jakiejże chwili?

Kiedy wsiadł do dorożki, krzycząc jak wściekły na pijanego Szwoszczyka, „paskarej na pocztu“ (prędzéj na pocztę) ogłuszony tym wrzaskiem woźnica, zamiast skręcić w Dominikańską ulicę, popędził konia w prostéj linii przez ulicę Niemiecką, przez co nadłożył dwa razy tyle drogi, lie by miał od hotelu Müllera, skręcając w Dominikańską. Wreszcie asesorowi wypadało jechać na pocztę wozową, gdzie byłby jeszcze niezawodnie pochwycił Niaurę, a tymczasem nieostrożny woźnica zdążał na pocztę listową.

— Dostaniesz rubla, dwa! trzy! wołał asesor, kułakując bezustanku — jedź tylko, jedź! Widocznie, że za każdym otrzymanym kułakiem i koń od woźnicy musiał także otrzymać przestrogę, bo kolasa w całym pędzie staczała się z górzystéj okolicy, jaką jest w Wilnie tak zwana Wielka ulica, skręcając w ulicę Dominikańską, kiedy na samym zakręcie, przed pałacem zwanym Kardynalia, gdzie mieszkał kniaź Trubeckoj, wstrzymał kolasę asesora tak silny opór, że i asesor wywrócił koziołka, a Izwoszczyk wyleciał jak z procy i zniknął gdzieś, jak kamfora w nocnéj pomroce.

Ten nadzwyczajny wypadek, który zwichnął całą

świetną przyszłość asesora, zjednał mu zarazem szczęście zbliżenia się do osoby dostojnego kniazia, do którego od dawna zbliżyć się pragnął.

Kniaź Trubeckoj powracał właśnie z nocnéj narady, jego kareta w téj chwili wjeżdżała w bramę już wpół otwartą, kiedy rozpędzony koń od kolasy asesora, łbem wytłoczył okno karety i rozognionèm nozdrzem dmuchnął w twarz drzemiącego kniazia.

Brzęk szkła, wrzask, wstrząśnienie gwałtowne, spowodowały nieokreślony chaos, kniaź salwował się ucieczką z karety, ale jednym rzutem oka rozpoznawszy winnych, rzucił się jak wściekły tygrys na rozciągniętego w kolasie asesora. Tutaj dopiero rozpoczął się bój, bój krwawy, bój morderczy! bo asesor nie wiedząc, kto jest napastnikiem, walecznie pochwycił kniazia za włosy, a gniew, który wrzał w jego piersi już od godziny, znalazł teraz porę w dobitnych objawach wylać się na zewnątrz.

Ale i kniaź okazał się także dzielnym szermierzem, bił i palantował przeciwnika, gdzie tylko popadł. Dwaj zapaśnicy stoczyli się z kolasy w błoto i niewiadomo, przy kim byłoby się utrzymało zwycięstwo, gdyby nie spieszna pomoc, która roztrzygnęła los bitwy na korzyść kniazia.

Asesor w oka mgnieniu ujrzał się skrępowanym i przeniesionym z ulicy w bezpieczne schronienie. Jeszcze się nie opamiętał, z kim i dla czego taki zacięty bój stoczył, jeszcze w zaciśniętéj garści trzymał pęk włosów przeciwnika, gdy znowu go pochwycono, jak piórko poniesiono po wschodach i złożono w przepysznéj sali. Przed nim stał jakiś chudy, mały człowiek, uśmiechał się do niego milutko i zapytał o nazwisko po polsku. Asesor splunął pogardliwie, a nawzajem zapytał po rusku, czego chcą od niego?

— No, skoro pan mówisz po rusku, tém łatwiéj pójdzie protokół — idzie nam naprzód o zeznanie świadków tu obecnych — i mały człowiek zabrał się do roboty. Nastawałeś pan na życie kniazia Trubeckawo?

Można sobie łatwo wyobrazić, jakie wrażenie te słowa sprawiły na asesorze. Chciał coś wymówić, tłómaczyć się, kiedy nagle szczęk kajdan rozległ się po sali i wprowadzono jakiegoś więźnia, a we drzwiach pobocznych kniaź się ukazał.

— Wsio precz! won! (wszyscy precz) zabrzmiał głos kniazia. Na ten rozkaz w sali pozostał tylko mały człowiek i nasz skrępowany asesor, o którym zapomniano w pospiechu.

— No, co mi masz powiedzieć? zapytał kniaź więźnia w łańcuchach — jesteśmy sami.

— Nie sami, odpowiada więzień, bo oto stoi ten łotr! twój sekretarz.

— Stupaj, won! — krzyknął kniaź! I mały człowieczek na paluszkach wymknął się za drzwi. Teraz więc już tylko pozostali we trzech, kniaź, więzień i asesor przyparty do ściany.

— No, teraz mów, słucham.

— Przybliż się, odpowiada więzień, przecież nie będę wrzeszczeć — zaledwie mogę dyszeć jeszcze.

— Patrzaj, jeszcze się użala maładiec! (zuch), jabym z was wypruwał żyłkę po żyłce za wasz upór. Tyś rozumny człowiek, ty wiesz, że katorżna cię nie minie, że kibitka stoi gotowa, a powiesz dobre słowo, gdzie Syrwid, Rapczyński i inni, to jakem kniaź! i siostra będzie wolną i sam cię przedstawię rządowi i sto chat nagrody! No, mów, teraz masz czas, jak ztąd wyjdziesz, już będzie po wszystkiém.

— A pamiętasz, jakeś mnie dręczył, to moja zemsta kniaziu wszystko wiesz i nic nie wiesz. Umyślnie kazałem cię zatrzymać, aby ci raz jeszcze w oczy spojrzeć, pośmiać się z ciebie tak, jak przed godziną, tam śmiałem się z was wszystkich razem.

— Tak?

— Tak.

— Katorżna! katorżna! syczał kniaź.

Więzień wstrząsał łańcuchami i śmiał się szyderczo, kniaź przyskoczył i plunął mu w twarz. Wtedy głucho zabrzękły łańcuchy, jedna chwila, a kniaź byłby zgruchotany, lecz więźniowi pośliznęła się noga, stracił równowagę, blada jego twarz uderzyła tak silnie o woskowaną posadzkę, że prawie omdlał. Kniź rozwścieklony, tratował nieszczęsną ofiarę, krew zafarbowała salę, kat nie widział krwi, nie uczuwał, że pod stopami jego już był trup bezwładny. (Dok. n.)

# ROZMAITOŚCI.

(Równowaga.) Peweł. Ileż dziś wypiłeś kufelków, panie Szawle?

Szaweł. Sześć.

Paweł. No to bądź zdrów, muszę się zrównoważyć z tobą. Pójdę i wypiję jeszcze dwa.

Szaweł. Ja ci podam inny sposób zrównoważenia. Chodźmy obaj, wypijemy po dwa a ty za wszystkie cztery zapłacisz.

Paweł. Piękna mi to równownga! — ja będę po sześciu a ty po ośmiu...

Szaweł. Najpiękniejsza, ja będę po ośmiu, ale ty razem za — ośm zapłacisz.

Paweł. Tak, ale ja będę po sześciu.

Szaweł. To téż i ja zapłaciłem już za sześć.

(Sejmik fryzyerów.) Londyński Mornig Post zamieszcza w korespondencyi z Paryża następującą wiadomość:

„Starałem się dowiedzieć, jakim będzie w tym roku kolor modny włosów i brwi damskich. Fryzyerzy paryscy zebrali się na sejmik, na którym postanowioném zostało, że damy noszące włosy blond złotawego odcienia, nosić będą brwi czarne, brwi zaś złotawo blond, towarzyszyć będą włosom czarnym. Włosy ciemne, szatynowe, zostaną zupełnie wykluczone z modnego świata, gdyż kolor ich nie jest dość wyrazisty. Nie zdecydowano się jeszcze, czy szyniony, koki, zostaną utrzymane, zdaje się jednak, że będą odrzucone, jeżeli się da wynaleść jaki strój więcéj skomplikowany i droższy. Cera będzie biała, perłowo matowego odcienia, wargi blado-różowe, usta zaś damy trzymać będą lekko otwarte.“

(Młody spadkobierca.) Pan Alfred. No, jakże ci się podoba, Panie Grzegorzu, moja nowa kareta?

Grzegórz. A, bardzo śliczna.

Pan Alfred. Nie znoszę niewygodnéj jazdy, dla tego wprost z Paryża sprowadziłem ten powóz, zapłaciwszy 500 dukatów.

Grzegórz. Bardzo ładnie. Znałem ja nieboszczyka ojca Jasnego Pana, kiedy jeszcze chodził piechotą, to téż tak sobie nogi był zepsuł, że na starość musiał jeździć w karecie. Jaśnie Pan rozumnie sobie radzi, boć jeżdżąc teraz w karecie, zakonserwujesz sobie nogi, to gdy przyjdzie starość, będzie można doskonale chodzić piechotą.

## Szarada.

Pierwsze łącznikiem — a drugie
Przyimkiem; zaś trzecie i czwarte
W historyi węgierskiéj zawarte
Także samo trzecie
Znajdziesz w alfabecie,
A czwarte jak się zowie,
Włoska skala wypowie.
Wszystko — cztery zgłoski długie —
Znajomą ci osobę oznaczy,
Która dzisiaj jest bliską rozpaczy.

(Rozwiązanie szarady w nr. 43: **Tatarak.**)

### PUSZKA DO LISTOW.

Pan Ad. pod Rakoniewicami. Nr. 40 odeślemy. Na wiersz „Odpowiedź“ odpowiemy późniéj. — Panom Fr. P., — Ks. Kp. w Inowrocławiu: Dziękujemy. — Panu A. Kalinie: Serdeczne podzięki. Potrzebujemy namysłu, wszakże prosimy „nie tracić otuchy na przyszłość do pracy w podobnym rodzaju.“ — Panu M. Damurtowi: Zamiast pojedyńczych listów czy nie moglibyśmy dostać całéj teki — do wyboru?

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ul. nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu. Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.